

Powrót do ziemi obiecanej

Teatr Wielki w Łodzi we współpracy z łódzką Manufakturą wystawi operę „Człowiek z Manufaktury”, której tytułowym bohaterem będzie łódzki fabrykant Izrael Poznański. Libretto przygotowuje dramatopisarka i scenarzystka Małgorzata Sikorska-Miszczuk, kompozytor zostanie zaś wyłoniony w drodze konkursu. Premiera planowana jest na listopad 2018 roku. Rolę Przybysza w tym przedstawieniu zagra WOJCIECH PSZONIAK, dla którego będzie to debiut na scenie operowej.

Magdalena Sasin: - Jak to się stało, że trafił pan do obsady „Człowieka z Manufaktury”?

Wojciech Pszoniak: - Jestem wielbicielem opery i ta inicjatywa wydała mi się bardzo ciekawa. Po dokładnym zapoznaniu się z pierwszym aktem - następne są w pisaniu - nabrałem ochoty na nową przygodę w moim aktorskim życiu. Podoba mi się, że nie jest to przedsięwzięcie komercyjne. Pomysł, żeby zrobić o Poznańskim operę, jest świetny. Dzięki temu człowiekowi Łódź zaistniała jako miasto, jako ziemia obiecana. Był człowiekiem nie tylko bogatym, ale też hojnym.

Uważa pan, że takie przedstawienie powinno skupiać się na pozytywnych cechach „króla bawełny”, czy raczej ukazywać kontrowersje z nim związane?

- Ciekawi ludzie są kontrowersyjni, jednowymiarowi mogą być tylko ci banalni i „plastikowi”. Mam nadzieję, że to będzie przedsięwzięcie czysto artystyczne.

Jaką postać zagra pan w tym przedstawieniu?

- Będzie to Przybysz - postać dość niezwykła, poetycka, nie mająca swego pierwowzoru w rzeczywistości: anarchistyczny poeta, który walczy z bogaczami, kapitalistami. Ta postać jest jakby żywcem wzięta z Dostojewskiego, skojarzyła mi się z Wierchowieńskim, którego grałem w inscenizacji „Biesów” Andrzeja Wajdy w Starym Teatrze.

Pana związki z „ziemią obiecaną” zaczęły się w 1974 roku, gdy wystąpił pan w filmie Andrzeja Wajdy jako Moryc Welt...

- Na pewno miało to wpływ na zaangażowanie mnie do Teatru Wielkiego - Pszoniak kojarzy się z „Ziemią obiecaną”. Tym razem nie gram jednak Moryca Welta, jestem o wiele starszy. W Łodzi pracowałem już wcześniej, tutaj odbył się mój debiut filmowy w 1970 roku w „Twarzy anioła”. Potem były „Austeria”, „Spokojne lata” i tak dalej. Bardzo polubiłem Łódź. To miasto z charakterem, trudne, nie „galanteryjne”, ale ja lubię takie miasta. Jeśli będzie mieć mądrych, rozsądnych gospodarzy, to może się wspaniale rozwinąć. W Łodzi zachowała się cała struktura miejska i czuje się ducha tego miasta sprzed wielu lat. Bliskość Warszawy może się okazać bardzo korzystna. Dziwię się, że do tej pory nie wybudowano między tymi miastami szybkiej kolei w typie francuskiego TGV. Dzięki temu wiele osób ze stolicy mogłoby się przenieść do Łodzi.

Zgadza się pan z tym, że Łódź to miasto „trudne do kochania”?

- Cóż, najłatwiej kochać lalkę z pierwszych stron gazet, ale ja nie mam takiej potrzeby. Dostrzegam - tak w ludziach, jak i w miejscach - piękno mniej ewidentne. Łódź to oczywiście nie jest Cannes, ale ma charakter. Bo miasta, tak jak ludzie, mają różne charaktery. Gdy mówimy „człowiek piękny”, nie mamy na myśli miss świata, ale określone wartości. Łódź ma w sobie wartość, którą doceniam.

Wychowałem się na Śląsku, więc może dzięki temu mam większą wrażliwość na taką szorstką urodę. Po prostu dobrze się tu czuję. W ostatnich latach Łódź, podobnie jak cała Polska, bardzo się zmieniła. Staje się wspaniałym miejscem. Z tego, co udało mi się zaobserwować, jest to miasto tętniące życiem, w którym odbywa się wiele imprez kulturalnych.

Jako artysta reprezentuje pan i kulturę polską, i francuską. Która jest panu bliższa?

- Jestem Polakiem i nigdy nie przestanę nim być. Od wielu lat żyję na Zachodzie, pracuję tu i mieszkam, ale jednocześnie mieszkam i pracuję w Warszawie. Gdybym wybrał się do Indii czy Chin, pewnie miałbym problem, ale we Francji nie ma nic obcego - to tylko kwestia języka. Kultura polska należy przecież do kręgu kultury europejskiej. Ponadto kultura francuska od wieków jest nam bardzo bliska.

Czy życie i praca w dwóch krajach jednocześnie nie jest czasem męczące?

- Życie w dwóch krajach to przede wszystkim ogromne urozmaicenie. Występuję jako aktor w różnych krajach - we Francji, Anglii, Szwajcarii - więc przyzwyczailem się do częstych podróży. Staram się wszystko organizować tak, by nie było nieprzewidzianych wypadków i „zderzeń”, bo nie lubię się spieszyć i gonić. Jednocześnie nie jestem spokojnym duchem i potrzebuję być w ruchu.

Czy edukacja muzyczna, którą odebrał pan w dzieciństwie, pomaga panu w zawodzie aktora?

- Od małego dziecka chodziłem na opery, bo moja matka kochała tę sztukę. Na pewno miało to na mnie wpływ. Później chodziłem do szkoły muzycznej, grałem na skrzypcach, byłem klawecistą i oboistą. Cztery lata temu, w związku z pewną rolą, postanowiłem, że nauczę się grać na wiolonczeli. To piękny instrument. Teraz ćwiczę utwór Schuberta. Móc grać w domu, dla siebie samego - to wspaniałe. W przedstawieniu o Poznańskim nie będę śpiewał dużych arii, bo nie jestem przecież śpiewakiem. Poprosiłem jednak, by w mojej roli znalazło się choć parę nut, nie chcę tylko przechadzać się po scenie.

Jak ocenia pan rozwój polskiego teatru współczesnego?

- Dzieje się dużo ciekawych rzeczy, ale również, niestety, sporo nieciekawych. Zauważam wyraźną tendencję, by zerwać z tradycją. Trudno w Polsce obejrzeć prawdziwego Moliera czy Szekspira - zamiast tego można zobaczyć masakrę. W teatrze zawsze istniała tendencja do budowania czegoś nowego, ale w Polsce przy tej okazji klasyka została wyeliminowana. Co nie znaczy, że uważam, iż repertuar mogą narzucać teatrom politycy. Politycy nie mają prawa do oceniania sztuki, nie wolno im decydować, czy coś należy pozostawić w repertuarze, czy zdjąć z afisza. To bardzo groźne zjawisko, które przeżyłem już w PRL-u. Kolejna niekorzystna tendencja, szczególnie zauważalna w teatrach polskich, dotyczy problemów, jakie mają aktorzy z dykcją. Coraz częściej używają mikroportów. W Anglii to nie do pomyślenia, żeby aktor był niesłyszalny.

W wywiadach twierdzi pan, że pańską najlepszą aktorską cechą jest eklektyzm...

- Myślę o aktorstwie eklektycznym w kontraście wobec aktorów, którzy grają podobne role przez całe życie i nie chcą wyjść poza to, z czego publiczność ich zna i za co lubi. Są aktorzy, którzy mimo że się przebierają w różne kostiumy, wciąż pozostają tacy sami. Tymczasem sztuka aktorska nie polega na tym, żeby powtarzać to samo w różnych wersjach. To jest proces twórczy, odkrywczy. Tylko wtedy ma sens.

